WARSZAWIANIN W DOMU,

KOMEDYA ORYGINALNA

WE TRZECH AKTACH



W WARSZAWIE.

W Drukarni P. Dufour, Konſyliarza Nadwor: i Drukarza J. K. Mci, Dyrektora Drukarni Przeświet: Szkoły Rycerſkiey.

M. DCC. LXXXVI.

OSOBY.

Pan STAROSTA.

Pani STAROSCINA.

KASIA.	Dzieci.
KRYSIA.	
MEDARDEK.	

Pan JAN, Szambellan ſyn ſtarſzy.

WILHELMINI, iego Lokay.

JĘDRZEY, paiuk.

BARTŁOMIEY, hayduk.

MAGDALENKA, garderobiana,

Scena odprawuie ſię w domu
Pana Staroſty na wſi.

WARSZAWIANIN
W DOMU.

AKT I.

SCENA I.

STAROSTA, STAROSCINA, KASIA, KRYSIA, MEDARDEK.

STAROSTA, (*do Zony.*)

Moie ſerce, iak miarkuię z liſtu piſanego Pana Jana z Warſzawy kiedy wyiechał, dziśby powinien bydź na obiad, ieżeli go iaki przypadek nie zatrzymał.

STAROŚCINA.

Troſkliwa ieſtem mocno o to, bo mnie ſię zdawało, że prędzey bydź powinien, kazałam nawet pokoy dla niego oporządzić oſobno, i żeby w nim wſzyſtko ochędożnie było; czaſami biedzę ſię w ſobie, czy będzie miał u nas ſtoł wygodny; niechciałabym, moie ſerce, żeby nudził u nas, przywykły do innego życia i wygod.

STAROSTA.

Moia Pani! wſtyd mnie, że to mówiſz przed dziećmi, ktore ſię gorſzyć mogą, ktoż to ieſt ten Pan Jan? wſzakże to rowne dziecię naſze, ktore ſię nam ma wyſługiwać, nie my iemu, nas ma bawić, nie my iego. Słowem mowiąc, my i dom, w ktorym ſię wychował, niepowinien wygładzić nigdy z pamięci, czym on ieſt i czym był? i ieżeliby tak młody człowiek miał do miękkości życia przywykać i do wygod, to według W.

Pani mniemania Pan Jan nie powinienby nigdy bydź żołnierzem, niepowinien używać podrożnych niewygod i nawet nie powinien nigdy domem właſnym rządzić, i przeſtawać na tym, co w domu mieć można, dla tego, że mogł ziadać przyſmaczki Warſzawſkie, i że tam w murach i w meblowanych pokoiach wygod używał. Proſzę WPani, ażeby żadney nowości w domu naſzym dla niego nie czynić, o czaſie nawet kilkoletniego oddalenia z domu naſzego, za przybyciem iego zapomniymy, a rozumieymy tylko, że to naſz Jaś ieſt teraz Panem Janem, ktory w dzieciństwie tak nas bawił iak dziś Medardek, a teraz nam pomocą bydź powinien.

STAROŚCINA.

Przecież moie ſerce znamy, i oprzeć ſię nie możemy ſerca poruſzeniom, ktore utęſknienie ſprawuie. Kiedy ze ſzkoł

powracał chcieliśmy mu obmyślać rozrywki, dalekoż bardziey teraz.

STAROSTA.

Cale rzecz inna, bawić go potrzeba było, bo po pracach przyieżdżał na rozrywki, teraz zaś po rozrywkach na iakążkolwiek pracę i pomoc nam; proszę WPani żebyś żadney nieczyniła osobliwości, bo to mnie obrażać będzie.... Owszem trzeba w początku zaraz utrzymać tę powagę rodzicielską, iakiey uszanowanie w całym życiu mieć pragniemy. Dzieci! wy zabawicie Pana Jana iak przyiedzie; mowcie mu o swoich zabawkach, on też wam powie co widział i może was czego nauczyć.

KASIA.

Ja Mości Dobr: zaprowadzę do mego ogrodka, pokażę mu mego sadzenia kwiatki, powiem iakie ziołka są pożyteczne do lekarstw, będziemy grali Komedyą, ktorey uczyłiśmy się i wiele pię-

knych rzeczy powiem z xiążki Pani Bony.

K R Y S I A.

Ja zaprowadzę do ſzafki, co Jeymość mnie dała, pokażę wſzyſtkie naczynia, malutkie goſpodarſkie i powiem ktore do czego należą, może on nie będzie znał tego.

M E D A R D E K.

Ja będę bayki mówił, w ktorych choć co będzie nie prawdy, to nie moia wina tatulu, bo to bayki, ale i z nich, powiem, co dobrego, można ſię nauczyć.

S T A R O S T A.

Dobrze dziatki! bawcie waſzego ſtarſzego braciſzka, ale żądaycie od niego, żeby i on was bawił.

****

SCENA II.

Ciż ſami, JĘDRZEY.

JĘDRZEY.

MOści Dobrodzieiu ktoś przyieżdża, boday czy nie Pan cz, tak ſię mnie zdaie po koniach naſzych i po barwie co Jegomość poſłał po Panicza, tylko że więcey ieſt koni, niż Jegomość poſłał i więcey ludzi.

KASIA, KRYSIA, i MEDARDEK.

(*z radością.*)

Braciſzek iedzie, braciſzek iedzie, braciſzek iedzie.

STAROŚCINA, (*cicho.*)

Jędrzey! powiedz kucharzowi, niech więcey co przygotuie, z ciaſtą niechay prędko co zrobi, Magdeczka niechay łożko w kątowym pokoiu poſtawi, miednicę,

zwierciadło, ręcznik, żeby wſzyſtko porządnie tam było.

STAROSTA.

Poydź Jędrzey, przypatrz ſię czy Pan Jan, czy kto z gości, bobym muſiał kontuſz włożyć.

JĘDRZEY.

Panicz, Mości Dobrodzieiu, panicz iuż na dziedzińcu ieſt.

STAROSTA.

Dzieci ſpotkaycie braciſzka (*wychodzą*) (*patrzy przez okno*) Moia Pani, patrz WPani a to nie naſza ambonka, to iakiś oſobliwy rydwan, w ktorym on przyiechał, z rogami, to coś oſobliwego.

STAROŚCINA.

To muſi bydź coś modnego, iuż i u nas na ten blaier zaczynaią robić, choć nie może bydź tak dobrze iak w Warſzawie.

****

SCENA III.

Ciż ſami, P. SZAMBELAN, *w chodzi z dziećmi i kłania ſię z ſząſtaniem.*

STAROSTA.

URosłeś Panie Janie, Warſzawſki chleb uważam, że tuczy, cieſzę ſię żeś zdrow, zgadłem Waścine przybycie.

STAROŚCINA.

A mnie trochę zmartwiłeś, bom rozumiała że wczora powinieneś był ſtanąć.

SZAMBELAN.

Mościa Dobr: zapewne, żem pośpieſzał uſilnie do domu Rodzicow, nawet i dla tego że bardzo nieporządne oberze nudziły mnie,ale bezecne drogi, wſzędzie mnie zatrzymywały,iak tylko zpocztowego traktu ziechałem na naſzych Sarmatow maiętności, gdyby nie móy Fornal ſprawny,

przyſzłoby kilka razy reſory połamàć, i tak, imperyał zerwałem i berlacze zgubiłem, a nawet Mościa Dobr: podobno iuż na właſney ziemi przyſzłego dziedzica niewdzięcznie taż ziemia przyięła, bo pod ſamym dworem na moſtku tak ſię utrząſłem, żem migreny doſtał. Ale Jch-mość Dobrodzieyſtwo nie czyńcie ſobie ze mną ceremonii, raczcie ſiedzieć, i mnie pozwołcie, (*bierze ſtołek i ſiada*)

STAROSTA.

Przybieram ſię do tego, żebym drogę naprawić kazał, ale to nie ieſt tak łatwa rzecz, i nie uczyniłaby wiele pożytku bez powſzechnego zgodzenia ſię, na ogólne drog naprawy.

SZAMBELAN.

Naymnieyſzą bagatela Mości Dobr: ieſt to opiſano w xiążkach, tylko że w tym kraiu znaiomości i guſtu nie maią, równie iak do goſpodarſtwa idąc za uprzedzeniem i zwyczaiem pierwſzych na-

ſzych naddziadow. Ale to za pozwoleniem WPana Dobr: wſzyſtko będzie inaczey, przywiozłem wiele bardzo pięknych xiążek właśnie goſpodarſtwa tyczących ſię, z Angielſkich i Francuzkich nayprzednieyſzych Autorow.

STAROSTA.

Dziękuię moie dziecię! mało ich potrzebować będę, bo w ięzykach tych nie ieſtem biegły, i iuż uczyć ſię nie mam na ſtarość ochoty, u mnie Kluk to święty człowiek, adoruię i pilnować iego będę.

SZAMBELAN, (*z uśmiechem.*)

Dobry to Niemczura, dobry, Mości Dobr: ale to ieſt Kopiſta tylko wielkich tych Autorow, widziałem z tego Kluka rzuceniem oka, goſpodarſtwo tuteyſze, z niego iednak nie zbudowałem ſię MościDobr: ale ſię to poprawi z czaſem.

STAROSTA, (*poburzony.*)

Idź mòy ſynu do ſwoiey izby, przebierz ſię z drogi, bo my do rodzicow przyieżdżaliśmy zawſze iak do wielkich Panow, gdyż więkſzego uſzanowania nikomu iak Rodzicom nie należy wyrządzać.

SZAMBELAN.

Bardzo dobrze Mości Dobr: bo też muſzę ſam bydź przy rozpakowaniu moich rzeczy, żeby tuteyſi drągale ſzkody iakiey nie uczynili. (*odchodzi.*)

STAROSTA.

Moie ſerce! czy uważałaś co Pan Jan gadał, iednych rzeczy cale nie rozumiałem: renſoły, imperatory, barlaczony, i zamilczeć muſiałem; niechcąc dać poznać, że nie rozumiem; drugie rezonowanie o goſpodarſtwie, obraża mnie, Dziedzic przyſzły, Sarmaty, zły moſt, złe goſpodarſtwo. A to moia Pani i nie

grzecznie i zbyt byſtro przeyrzały Ekonom.

STAROŚCINA.

Nie trzeba tracić młodym śmiałości, moie ſerce, i owſzem dobrze ieſt, kiedy co wie, to powiada; czyż my mamy zazdrościć ſynowi naſzemu tego poloru.

STAROSTA.

Moia Pani umiem ia uczynić różnicę między dowcipem, nauką, polorem, a trzpiotalſtwem, wyſokim o ſobie rozumieniem i nieuważną rozmową, co ten młodzik dziś gada? on rozumie, że my nie poymuiemy i nieznamy, dla tego, że na wſi mieſzkamy, a on z miaſta przyiechał. Prawda to ieſt, że moda, zwyczaie i grzeczność, nabywaią ſię na wielkim świecie, ale nie rozum ani dowcip, bo ten po więkſzey części z wnętrzności Rodzicow bierzemy, a tylko doświadczeniem kſztałciemy; nie, Mościa Pani! cale mnie pierwſzy wſtęp Pana Jana nie

podoba ſię, WPani iako matce kochaią-cey, przyſtawać będzie oſtrzedz go, że mi ſię to nie podoba, bo ia z łagodno-ścią o tym mowić nie zawſze mogę, i od-powiedzi krnąbrney i nieuważney lękam ſię, z dziećmi tak chcę argumentować iak móy Oyciec ze mną, kiy w ręku trzy-maiąc. Zoſtawiam tu WPanią, czyń według ſwoiey roſtropności.

****

SCENA IV.

STAROSCINA (*ſama*)

NApełniam ſię nieſpokoynością o Pana Jana, mówić mu będę iednak łagodnie, i doświadczę iego ułożenia, czy ſię tak mogło odmienić te miłe, te łagodne i tak przywiązane w dziecińſtwie ſerce iego do nas, gdyby to miało bydź, złorzeczyłabym godzinie tey, która myśl nam podała wyſłania go do Warſzawy. Możeż bydź iakie porównanie ſtraty do pożytku; zepſucia ſerca i obyczaiow, do poloru, gadania ięzykami różnemi, i trzymania ſię innym od nas ſpoſobem, otoż i on idzie.

****

SCENA V.

P. SZAMBELAN, DZIECI, P. STAROSCINA.

STAROŚCINA.

COż Dzieci? czy bawiłyście braciſzka?

KASIA.

Niechciał iść do mego ogrodka.

KRYSIA.

Niechciał patrzyć na moie cacki.

MEDARDEK.

Niechciał ſłuchać baiek... my za nim wſzędzie chodzili, on nas odpychał.

STAROŚCINA.

Panie Janie, czy ſię WPan nie cieſzyſz z rodzeńſtwa, czy nie lubiſz bawić ſię z niemi.

SZAMBELAN.

Ma chere Mere przyznaię śię ſzczerze, że te dzieci mnie nudzą; i z żalu oczy od nich odwracam, że tak zaniedbaną maią edukacyą, a to w Warſzawie młodſze iuż Kontradanſe ſkaczą, śpiewaią, graią i wiele rzeczy umieią; odday ie WPani do Warſzawy, lepiey nie day nic poſagu, a day edukacyą, to rzecz większa Ma chere Mere, cóż z niemi miałem gadać o kwiatkach, o cackach, o baykach, tego niemożna żądać po człowieku inney edukacyi.

STAROŚCINA.

Przecież każdy wiek ma ſwoie zalety, a Warſzawa ogarnąć nie może w ſobie całego Narodu dzieci, pierwſzey dyſtynkcyi domy nie maią tego mieyſca za przyzwoite na edukacyą młodzi. Ja ſama móy ſynu...

SZAMBELAN.

Tym gorzey Mościa Dobr: tym gorzey, żebym był na owczas na świecie, radziłbym ſamey WPani...

STAROŚCINA.

Cożby z tąd za pożytek dla Jegomości, dla was, dla domu, dla ſąſiedztwa nawet wypływał?

SZAMBELAN.

Co za pożytek? co za pożytek? a to rzecz iałna; Jegomość takby nieporządzał ſię w domu iak teraz, i zawſze WPani Dobr: górębyś trzymała, my z guſtu W. Pani Dobr: mielibyśmy Edukacyą muzyki, głoſow, tańcow, a to co dzień byłyby baliki; dom byłby inaczey umeblowany, ſtoł inny, ſąſiedztwo przyieżdżałoby, mody i wzory brać z domu naſzego, a teraz nuda wſzędzie, iuż mi te kilka godzin ſą przykre bez żadney rozrywki.

STAROŚCINA.

Panie Janie, ſpodziewam ſię, że przywykniesz i oswoiſz ſię, przecież pamiętać muſiſz, że ieſteś u Rodzicow, widzieć ſię będzieſz z krewnemi, i nie podobna, żeby nawet ziemia i ſamo powietrze nie było ci miłe, na ktorey życie i wzroſt ſwoy wziąłeś, proſzę o to, zachoway ten ſentyment w ſobie, i nie wyiawiay przed oycem twoim, ktoremu nie będzie ſię to podobało.

SZAMBELAN.

A to piękna nauka! WPani Dobr: każeſz mnie bydź obłudnym, ażebym inaczey myślił, inaczey gadał, to ieſt przeciw charakterowi Mościa Dobr: ktory ieſt całą zaletą poczciwego człowieka, nie Mcia Dobr: tego nieuczynię, owſzem kiedy ia Ichmościow na moy ſpoſob myślenia nie naprowadzę, Ichmość mnie na ſwoy nigdy; bo nie miaſta do wioſek, ale wioſki do miaſta ſtoſować ſię powinny,

przecież Mościa Dobr: wiele widziałem i wiele znam.

STAROŚCINA.

Przecież Panie Janie rozſądek i roztropność zgadzać ſię mogą z charakterem; i z WPana ſamego rozumowania ia po kobiecemu rownie wnoſzę, że nie Rodzice do dzieci humorow, ale dzieci do Rodzicow woli ſtoſować ſię powinny, zaniechaymyż o tym, gdzież WPan chodziłeś teraz?

SZAMBELAN.

Włoczyłem ſię po chałupach dwornych, tam nie maſz *le ſens commun*, *pêle mêle*, bez ſymmetryi, bez Architektury, nawet bez wygody, to trzeba będzie wſzyſtko poznoſić.

STAROŚCINA.

Widziałżeś zrzebięta Jegomościne, moie krowy piękne, owce oſobliwſze?

SZAMBELAN.

Nic tam niemaſz oſobliwſzego Mościa Dobr: co to za porownanie do ſtada, ktore widziałem w Brzezianach, i do bydła w Wiązowni, albo w Garenie, ba na Hollendrach u proſtych chłopow daleko lepſze, a założyłbym ſię, że tu tak z tym nie umieią ſię obchodzić, że połowy intraty nie czyni, co w Warſzawie.

STAROŚCINA.

O tym wſzyſtkim będziemy mieli dosyć czaſu pomowić, nie koniecznie na ſamym wſtępie; będzieſz teraz nam gadał o Warſzawie ſamey, poydziemy do Jegomości, iuż też pora obiadowa zbliża ſię, zaraz będzie iedenaſta.

SZAMBELAN.

Zoſtaw mnie WPani Dobr: ia nie iadam iak o drugiey, a do tego, ia mało potrzebuię, każę memu człowiekowi rosoł zrobić i kurczęta upiec, bo też przy-

znam ſię WPani Dobr: że ſię nieſpodziewam potym wſzyſtkim, co tu widziałem, żeby mogło nawet i to czyſto tu bydź zrobione, tym zaś czaſem odpocznę u ſiebie, i rozpakuię ſię; poczytam trochę.

STAROŚCINA.

A dzieci mamże tu zoſtawić?

SZAMBELAN.

Nie, nie, Mościa Dobr:

STAROŚCINA.

Kłaniam, każ ſobie dać czego potrzeba, a ia rozkażę żeby ſłuchano. (*Szambelan odchodzi.*)

* * * * * * * * * * * * * * * * * * *

SCENA VI.

STAROSCINA, (*sama.*)

(*do dzieci.*)

DZieci idźcie, (*dzieci odchodzą*) dobrze ſię ſtało, żem go odprawiła, może to z drogi tak nie ſpokoyny, powiem przed moim mężem, że trochę zaſłabł, a tym czaſem będę rzecz łagodziła, żeby go oſwoić (*dzwoni*) Magdalenko, (*dzwoni*) Bartłomieiu (*wchodzą.*)



****

SCENA VII.

STAROSCINA, BARTŁOMIEY,

MAGDALENKA,

STAROŚCINA.

MAgdalenko! czy byłaś u Pana Jana w pokoiu? czy wſzyſtko u niego porządnie, ſpytaſz ſię czego chce.

MAGDALENKA.

Byłam Mościa Dobr: pokoy iak nie ten, wyrzucili wſzyſtko, co Jeymość kazała przybrać, a naſtawili różnych rzeczy, flaſzek, flaſzeczek, pudełek, ſkrzyneczek, ſłoikow, tam Mościa Dobr: iak w Apteczce u nas, pełno wſzyſtkiego, kazał Panicz żeby Panięta naſze wynieść z tego bokowego pokoiu, bo tam P. Lokay będzie ſtał, i dla niego żeby to wſzyſtko dać, co Jeymość dla Panicza

kazała przygotować..... nie posyłay mnie tam Imość, bo iak się spytałam, czego Panicz chce?.... Panicz Mościa Dobr: swawolny, ia tam drugi raz nie póydę, drugi raz nie posyłay mnie tam Imość.

STAROŚCINA.

A ty Bartłomieiu z Wincentym bratem, czy widziałeś się? zaprowadź go do Rodzicow, uciesżą się, tym czasem, niechay ktory z naszych domowych Panu Janowi posłuży.

BARTŁOMIEY.

Widziałem się Mościa Dobr: ale on iuż nie Wincenty nazywa się, w Warszawie iego przechrzcili, on się nazywa Wilelmini, nie wiem czy Oyciec i Matka nasza uciesżą się, bo właśnie iak przyieżdżał, byli we Dworze na pańszczyznie, on ich iakby nie poznał, i czapki niechciał zdiąć, słowa dobrego nie dał.

STAROŚCINA.

Muſiał nie poznać. Czego on będzie żądał? powiedzieć żeby do ſtołu dano, bo Pan Jan trochę z drogi ſłaby, będzie dziś z mięſem iadł u ſiebie w pokoiu. *(odchodzi.)*

****

SCENA VIII.

BARTŁOMIEY, MAGDALENKA.

BARTŁOMIEY.

PAnno Magdaleno! we Dworze naſz Panicz wiele zrobi zamięſzania, nie, niezgodzi ſię on z Jegomością i naſzemi zwyczaiami, kiedy tak napoczątku, co to będzie potym?

MAGDALENKA.

I mnie ſię tak zdaie, naſza Imość choć to pokrywa i nic nie gada, iednakowoż znać po niey iak ieſt pomięſzana. Otoż

i Pan Wilel.... iak iak?..... Wilwilnini?....

BARTŁOMIEY.

Wilelmini.

****

SCENA IX.

Ciż ſami, WILELMINI.

WILELMINI.

JAk ſię maſz Magduſiu? wyładniała beſtyika, zdałaby ſię u nas do Warſzawy za ſzynkareczkę, inaczey zaraz wyglądałabyś kochaneczko, inaczey, w kornetach, w rubronach, w negliżach, w ſalopach, inſza byłaby grzeczność, inna maniera nazwalibyśmy ciebie zaraz *Madelaine*, byłabyś ſławną; iabym ſam tobie wiele przyiacioł narobił, a potym mogłabyś póyść za mąż, za ktorego z naſzych kollegow, poſwatałbym ciebie, byłabyś zawſze na wielkim świecie, ſzanowaną, kochaną, muſzę z Panem o tym pomowić, może ten proiekt przyprowadzie-

my do ſkutku. Bartku, a tobie czy dobrze ſię powodzi? ciebiebym poznał oczy zawiązawſzy, taki łyła iak zoſtawiłem przed 5ciu lat, zdaie mi ſię, że w tym ſamym codzień chodzić muſiałeś ſaraſanie, coż tu u was ſłychać baſałyki?

MAGDALENKA.

Nam wieśniakom WMPan trzeba żebyś gadał... u nas iednoſtayny ſpoſob przepędzania dni życia, a zatym i wiadomości ſą krotkie.

BARTŁOMIEY.

U nas nawet Panie bracie, nie tak brat z bratem, a ieſzcze ſtarſzymi po pięcioletnim niewidzeniu ſię witaią ſię wzaiem, łyła, baſałyk, te nawet ſłowa ſą nam nie znaiome.

WILELMINI.

Zgoda, zgoda, poznamy ſię po tym i pogadamy o wſzyſtkim, teraz czaſu nie mam, przybiegłem tu do was, żebym u-

dyſponował Panu obiadek i ſam dopatrzył, macież tam pulardę, ſzparagi, trufle, cytryny, żeby ze cztery potrawki zrobić dla Pana i dla mnie.

MAGDALENKA.

Jeymość kazała, żeby kurczęta były, a drugich rzeczy przyznam ſię WPanu, że ia i nie znam, ale to dla Panicza chorego, ale WPan MosPanie Wilwil... tſu zawſze pomylę ſię... Wilelmini, z nami będzieſz iadł, bo dziś Wilia z poſtem.

WILELMINI.

Ha, ha, ha, co, co, Wilia! Ja znam rzekę Wilią, co pod Wilnem płynie, i dla tego, że tak ſię rzeka nazywa, mam ieść z poſtem? pewnie z ſuchotami ha, ha, ha, pewnie z oleiem ha, ha, ha, a to moia Panno do pokoſtow do pokoſtow tylko teraz tego używaią nie do iedzenia, wolałbym milion ſto kroć diabłow ſolonych niżeli takie życie, ale potym o tym, teraz o Pańſkim obiedzie, idźcie, idźcie, żywo (*odchodzą.*)

AKT II.

SCENA I.

SZAMBELAN, WILELMINI.

WILELMINI.

MOſpanie! co to za dzicz w tym domu, nieſłychane rzeczy! wſzedłem do kuchni, aż tam dwie miſy wielkie nalali barſzczyſkiem ze śledziami i kapuściſkiem, z oleiem, obſiedli bez żadney dyſtynkcyi, razem, hayduk, paiuk, Magdalenka, namieśnik, ſtangreci, maſztalerze, ledwo że nie ſtroże. Wſzyſcy iak na pogrzebie, pierwiey pacierze mowili, a potym ziadłſzy znowu pacierze, dali im dzban

piwfka, ledwie po kubku doftało fię, przez ciekawość zayrzałem do Pańfkiego ftołu i tam toż famo, pacierze, oni tu widzę więcey modlą fię iak iedzą, a na mnie poglądali iak na raroga iakiego; żebym nie z Pańfkich pożywił fię potrawek, głodem trzebaby mrzeć, za pieniądze nawet nie można nic doftać, uciekaymy ztąd MosPanie, uciekaymy.

SZAMBELAN.

Już i ia o tym myślę, iak fię wyrwać nayprędzey, ale trzeba będzie ponudzić, coż robić? będę fobie zaradzał iak można; Słuchay Wilelmini, weydź ty w rozmowę z tuteyfzą czeladzią, nabierz fię cierpliwości, coż robić? będę przynaymniey wiedział o wfzyftkim, gaday im iak to w Warfzawie żyią, może nawrocifz ich, będziefz miał prawdziwy odpuft, i przed Panem Bogiem zafługę, wyprowadzaiąc z błędu i ciemnoty; dowiedz fię od nich, wiele Jegomość ma

pieniędzy? iaka intrata, iakie tu gospodarstwo? i kto tu iest z sąsiadek, będę mogł czasami przerwać się i zabawić.

WILELMINI.

Dobrze Panie Dobrodzieiu, usłużę Panu, choć tu nudno, ale Magdusia... nic iey.

SZAMBELAN.

To domowa sprawa, ty pytay o więcey, ale, ale, gdzież moy kocz postawiliście.

WILELMINI.

Stoi na dworze, nie lezie do żadney stodoły przez drzwi.

SZAMBELAN.

Każ wyciąć ścianę, ale zaraz... Zeby do mnie nikogo nie puszczać, powiedzieć, że nieprzyimuię cale nikogo. Jak wyidę ztąd, ustawisz moią porcellanę i wszystek kurz zmieciesz, ale

nikogo niewpuſzczać. Teraz zaraz, idź do moiey matki, zanieś ten bilet, i powracay z reſponſem, dopraſzay ſię o reſpons zaraz, ia ſię położę, zamkniy mnie.

WILELMINI.

Dobrze, dobrze Mości Dobr: ſprawię ſię żywo, czy to mnie rzecz nowa więkſze Pańſkie odbywać intereſſa.

****

SCENA II.

WILELMINI, (*ſam.*)

JUżci Pańſkie intereſſa nieſą mnie taiemne i nie znaiome, oſobliwie kiedy w billetach; w dwóch one tylko poſpolicie bywaią gatunkach, kiedy do Dam to amoryczne, kiedy do mężczyzn to po pieniądze, ten zaś choć do damy, muſi bydź iednak w drugim ſpoſobie. Kiedy będzie potrzeba, podpomożem temu intereſſowi i uſtnie, ale to bieda niemaſz żywego ducha

ducha, przez kogobym mogł ſię anonſować, (*tupa nogą.*) hola, hola.

****

SCENA III.

JĘDRZEY, WILELMINI.

WILELMINI.

JĘdrzey, gdzie ieſt Jeymość?

JĘDRZEY.

Zwyczaynie w iednym pokoiu z Jegomością.

WILELMINI.

Jak to! Jeymość nie ma ſwoich pokoiow?

JĘDRZEY.

Czyż Waſzeć nie znaſz tego domu, czyż Waſzeć cudzoziemiec, coż to dziwnego?

WILELMINI.

Słuchay Jędrzey..(*tonem poufałości*) Jegomość wiele ma pieniędzy?

JĘDRZEY.

Jakże ia o tym mam wiedzieć.

WILELMINI.

To śmieſzna rzecz, a kiedy ſuknie zdeymuieſz, to muſiſz widzieć, a do tego wieſz gdzie klucz, gdzie ſzkatuła?

JĘDRZEY.

Ja nic tego nieznam, co Waſzeć chceſz mowić. Klucze, ſzkatuła, kieſzeń, całe do mnie nie należą, ani wiadomość o nich.

WILELMINI.

A to u was, iak widzę, wſzyſtko na wſpak, ia muſzę wiedzieć o wſzyſtkim. Póydźże do Jeymości anonſuy mnie, że tu ieſtem z intereſſem.

JĘDRZEY.

Co to ieſt anonzuy? czego Waſzeć chceſz?

WILELMINI.

Powiedz Jeymości, że tu przyſzedłem od Pana moiego z intereſſem.

JĘDRZEY.

To teraz rozumiem, ale czemuż ſam nieidzieſz.

****

SCENA IV.

WILELMINI; (*ſam.*)

CO to za bieda z temi Wieśniakami, ani ięzyka, ani maniery nie znaią... ale otoż oboie idą, nie zrozumiał mnie i w tym.. wſzyſtkoć też to iedno, bo wiem, że interes do oboyga ſię ściąga.

****

SCENA V.

STAROSTA, STAROSCINA, WILELMINI, JĘDRZEY.

STAROSTA.

WYidziem moia Pani! na zawołanie tego Warſzawianina, dowiemy ſię czego ten kuryer W. JPana Szambelana mego Wielce Mci Pana żąda. Nazwę go iak ſię nazywa teraz? Wilelmini co maſz nam powiedzieć?

WILELMINI.

To ſię omyłką ſtało Mości Dobr: bardzo przepraſzam, że Jędrzey nieokrzeſany turbował WPana Dobr: ia interes mam tylko do Jeymości Dobr:

STAROSTA.

Panie Wilelmini, ia mogę o tym wiedzieć, co wie moia żona, nie tay ſię

przedemną, i nie czyń między nami rozwodu, powiedz.

WILELMINI.

Oto ieſt billet od Pana moiego, wiem ci wprawdzie co ſię w nim zawiera, ale od Jeymości Dobr: będzie zależało woli, pokazać albo nie Jegomości Dobr: (*oddaie billet*) STAROŚCINA, (*czyta cicho.*)

STAROSTA.

Głośno moia Pani, ponieważ Wilelmini wie co ſię tam znayduie, naſz Jędrzey nie plotka.

STAROŚCINA, (*czyta głośno.*)

„ Proſzę WPani Dobr: ażebyś Jego„ mości donioſła, że ieſtem Czer: 300. „ potrzebny, ktore przez odchodzące „ konie do Warſzawy dałem parol hono„ ru, że odeſzlę, idzie więc o móy ho„ nor, ktory niepodobna Jegomość że-

„ by lekce ważył i chciał mieć ſyna bez „ honoru, ktoryby wołał w łeb ſobie „ ſtrzelić, niżeli honor ſtracić, piſzę „ ſię życzliwym ſynem. „ Wilelmini! czemuż twoy Pan ſam nie przyſzedł do nas w tey proźbie, ale z pokoiu do pokoiu billety piſzę.

WILELMINI.

Mościa Dobr: ieſt to delikatność moiego Pana, że nigdy nie gotow o żadną rzecz ſam proſić.

STAROSTA.

Czyż to nienazywa ſię u was w Warſzawie proſić, kiedy kto przez liſt proſi.

WILELMINI.

Cale co innego Mości Dobr: bo Pan nie patrzy na to, iaką miną przyimuią proźby liſtowne, a gdyby patrzał, to ſama miną Panu byłaby nieznośna, i wolałby...

STAROSTA.

Coż wolałby? pieniędzy nie mieć, wſzak to maſz mowić, znakiem ieſt, że nie muſi ich bardzo potrzebować.

WILELMINI.

O nie Mości Dobr: nie idzie zatym, ale nie rownie z większą czułością Pan przyimuie, kiedy kto ofiaruie mu, ukrywaiąc to przed nim ſamym, że mu dobrze czyni, i Pan nigdy tego nie gotow ieſt okazać, że ieſt wdzięcznym, bo to delikatność obraża. Pan moy przez ſentyment chce bydź przyiacielem, nie zaś przez obowiązki, nawet kilka razy publicznie nam ſię oświadczył, że przykro mu ieſt, kiedy Jegomość piſząc liſt, oznaymowałeś Bankierowi, że tyle poſyłaſz.

STAROSTA.

Coż miałem robić?

WILELMINI.

Trzeba było Mości Dobr: chcąc to grzecznie uczynić bez liſtu do bankiera, tylko wexel przyſłać, na co to komu wiedzieć, zkąd Pan bierze.

STAROSTA.

Czemuż mnie nieoſtrzegł twoy Pan. Na coż więc teraz tych pieniędzy potrzebuie?

WILELMINI.

Wiele ieſt Mości Dobr: potrzeb różnych, różnych, i ia nie wiem iak tą fraſzką tam ſię obdzielą, nawet na dwor Pańſki co zoſtał w Warſzawie, ledwo będzie doſyć do naſzego przyiazdu.

STAROSTA.

To macie tam dwor oſobny?

WILELMINI.

A iakże Mci Dobr: czyż to ia ieden mam ſłużyć, ieſt Kamerdyner, dwóch

Lokaiow, Leybhuzar froter, palacz, pomywączka, zakietek i laufer.

STAROSTA.

To fię cale nie dziwuię. że expens mufiał bydź wielki, poydźże do Pana, powiedz, że damy refpons, naradziwfzy fię z fobą, a Pan może też nam tym czafem wizytę oddać.

WILELMINI.

Do nog upadam Pańftwa Dobr:.. ale ale Mości Dobr: mam rozkaz od Pana, żebym ktorą ftodołę rozwalił dla wprowadzenia kocza, Pan też każ wyznaczyć iaką furmankę, i koni iezdnych do fpacyeru dla Pana, bo chce po fąfiadach poieździć.

STAROSTA.

Dobrze Panie Wilelmini,dobrze, niech Pan z nami fię obaczy, a dziś iefzcze odpocznie, i koni do Warfzawy nie odfyła.

WILELMINI.

Upadam do nog, upadam do nog.

****

SCENA VI.

STAROSTA, STAROSCINA, JĘDRZEY.

STAROSTA.

Widziałaś moią Pani cierpliwość, z iaką ſię zachowałem w tey konwerſacyi, choć mi ręka drżała, zbić tego hultaia, widziałaś kopią Pana Jana, coż to będzie z oryginałem.

STAROŚCINA.

Moie ſerce! przyznaię ſię WPanu, że rzecz dla nas całe nowa doroſłym ſynem porządzać ſię, hodowaliśmy ich w dziecińſtwie i błędy dziecinne nie zrażały oczu i ſerca naſzego, dla codzienney przywykłości, czemuż mamy

ſię zrażać dorośleyſzego młodzieńca omyłkami, pierwſze to dla nas doświadczenie, bo też pierwſzy ſyn, ktorego mamy w domu nie iak dziecię, ale iak kawalera.

STAROSTA.

Moia Pani! łagodność ſerca WPani, nie wzburza mnie, owſzem iak była ſłodyczą pożycia naſzego w wieku całym, tak i teraz miło przyimuię wſzyſtkie iey uwagi, ale przecież pamiętamy, że i my byliśmy młodzi, i pamiętamy co nam przebaczano, a co nie.

STAROŚCINA.

Ale młodym nie dawano dawniey tey wolności rządu, i nie oddalano ich z domu Rodzicow inaczey, iak pod ściſły rząd przełożonych, ieżeli więc z tey przyczyny ſą popſute obyczaie Pana Jana, naſza więkſza ieſt wina, niżeli iego, żeśmy dozwolili i nie iako wędzidło młodości ſami zdięli.

STAROSTA.

Ta uwaga mnie zaſtanawia. Przecież należy nam wiedzieć o wſzyſtkim, co ſię z nim działo przez te lata, od niego zapewne nie dowiemy ſię, z iego fawo-rytem nie rzecz nam wchodzić w rozmowy, zalećmy naſzey czeladzi, żeby to z niego wyczerpnęli a ſami będziemy ſłuchać tey konwerſacyi.

STAROŚCINA.

Bardzo dobry ſpoſob, Jędrzeiu, zawołay do nas Magdalenki i Bartłomieia, nauczemy ich co maią gadać, wierności ich możemy zaufać.

STAROSTA

Zbliſka podawać im będziemy materye do zapytania nas intereſſuiące.

****

SCENA VII.

Ciż sami. MAGDALENKA, BARTŁOMIEY, JĘDRZEY.

STAROSTA.

MOie dzieci, Wincenty Warszawianin, chociaż ieſt brat waſz, i wam równy, niechay iednak was bynaymniey nie gorſzy, że ieſt popſuty w Warſzawie, i zapomniał o pierwſzym ſwoim ſtanie, ani pamięta czym był. Chcemy iednak wiedzieć, iakim ſpoſobem on przyſzedł do tey rozwiozłości, gdyż nas, wiecie ſami, że on obchodzić powinien, i dla tego, że naſzemu Panu Janowi był przydany, i iego ieſt faworytem. Przez niego dowiedzieć ſię możecie wſzyſtkiego, zaproście go do ſiebie, potraktuycie, daycie choć wina, niechay wygada ſię przed wami ze wſzyſtkiego.

STAROŚCINA.

Pytaycie ſię o religią ich; o zabawy, o ſłużących, o długi iakie ma, i o cały ſpoſob życia Warſzawſkiego, on was ma za proſtakow; pokażcie, że więcey macie rozumu niż on.

MAGDALENKA.

Mościa Dobr: ſtrach mowić, iak on urągał ſię nam, że my z poſtem iedli, mnie namawiał, żebym za ſzynkarkę iechała do Warſzawy, wſzyſtkich diabłow z piekła wzywał, on nie muſi iuż bydź katolik.

JĘDRZEY.

Mnie ſię pytał gdzie ſzkatuła, gdzie klucze Pan chowa?

BARTŁOMIEY.

Pan Ekonom przychodził tu do Państwa, że Panicz zpędził wſzyſtkich chłopow z pola, i kazał w leſie linią ciąć do

kościoła Parafialnego, Pan Ekonom wypraſzał ſię, że czas roboczy, że ſię zboże ſypie, fuknął na niego i laſką pogroził, mówiąc drwię ia z twego zboża, moy plezir ieſt drożſzy niż twoie zboże.

STAROSTA.

Dobrze dzieci, więcey tego, więcey wybadaycie ſię, póydziemy moia Pani, będziemy w bliſkim pokoiu wſzyſtkiemu ſię przyſłuchiwali. (*odchodzi z żoną.*)

****

SCENA VIII.

MAGDALENA, BARTŁOMIEY, JĘDRZEY.

MAGDALENKA.

ROzbierzmy po między ſiebie, o co kto z nas będzie ſię pytał, ia będę gadała o ich obyczaiach.

BARTŁOMIEY.

A ia ſię będę pytał iak oni bogaci, i z kąd oni pieniądze biorą...

JĘDRZEY.

A ia ſię będę pytał co oni myślą z Jchmościami zrobić, poydę tym czaſem poproſzę iego tu, ale oto i on idzie, nagotuy Magdalenko wina.

****

SCENA IX.

Ciż ſami. WILELMINI.

WILELMINI.

PRzecież was znalazłem wſzyſtkich troie razem, iakże to was nie wypędzili niebożęta w pole do ogrodu, czy do inney iakiey roboty, bo uważam, że z was wſzyſtko tu chcą zrobić, iabym dnia iednego wyrzekł ſię takiey ſłużby.

MAGDA-

Magdalenka.

MosPanie, człowiek każdy do pracy ſtworzony, innym ſpoſobem Panowie, innym zaś my pracować muſiemy koniecznie, bo prożnowanie ieſt obrazą Pana Boga; ieſt nudą życia, ieſt przyczyną do roſpuſty i złych myśli, wſzakże i WPan muſiſz w Warſzawie nie prożnować.

Wilelmini.

Moia Magduſiu; ty widzę muſiałaś u X. Plebana ſłużyć, że tak ieſteś w biblii biegła, pobądź tylko roczek w Warſzawie, inaczey będzieſz gadała. Jużci to prawda, że bez pracy wybyście tu oſzaleli, ale nie w Warſzawie, gdzie tyle rozrywek, naprzykład: Pan śpi u nas do dzieſiątey, i my także; potym ubierze ſię człowiek, uſryzuie, z Panem na ſpacyer poiedzie, do ſtołu Panu z talerzem poſłuży, czaſem na wieczor gdzie poiedzie i tam ſię zabawi z kollegami, to ieſt

nafza praca kiedy mamy deżur, a po wa-
fzemu fłużbę; kiedy zaś nie, to czło-
wiek cały dzień bonuie od fzynku do
fzynku, wfzędzie znaydzie graczow,
przyiacioł, ten mnie ia iemu poftawię
piwa dubeltowego butelkę, i tak dzień
fchodzi miluteńko, człowiek też zie co
chce na cztery, na pięć, fztukę mięfa,
pieczenią, rofoł, to to życie moia Pan-
no, to....

MAGDALENKA.

A Pan toż famo zabawia fię?

WILELMINI.

Coż ma u diabła robić?

MAGDALENKA.

To, iak uważam, w miefiącu WPan
Panu, więcey nie fłużyfz iak kilka dni
całych, a czy za cały Miefiąc Pan płaci?

WILELMINI.

Owoż osobliwszy rachunek; znam, znam, u was tu kiedy kto nie pracuie iaki dzień, to wytrącą; se u nas nie tak.

BARTŁOMIEY.

Czy wiele Pan płaci WPanu?

WILELMINI.

Jedno z drugim wynosi na miesiąc oprocz wszelkiey odzieży Zł: 42. to na rok Zł: 500.

BARTŁOMIEY.

Jak WPan musisz bydź bogaty; tak wiele maiąc pieniędzy do roku; my dziesiątey części nie bierzemy, a mamy z łaski Panów nasze zapasy, ktore nas i na starość pożywią.

WILELMINI.

Prawdę mówiąc, ty tego nieznasz, iakie to są expensa w Mieście, wino, piwo, karty, i wy, wy dziewczęta, wy

nas ziadacie, ale człowiek żyie ſo. bie za to weſoło.

MAGDALENKA.

Muſiſz WPan ubogich wſpierać dla zasługi u Pana Boga.

WILELMINI.

Czaſami kto nie ma za co kupić trunkow, to człowiek z miłoſierdzia kupi dla niego. Ale co mi tam o tych iałmużnach, dzień naſz, wiek naſz, my tak żyiemy iak Panowie, to ſą naſi nauczyciele i kaznodzieie ſtołowi.

JĘDRZEY.

Z tego wſzyſtkiego co Waść powiedziałeś niezayzdroſzczę Waści Warſzawy, na to żyieſz, żebyś pił, iadł, grał w karty i umizgał ſię, był goły zawſze, nic nie miał, i ſtarość w ſzpitalu, albo pod murem kończył, winſzuię WPanu tego ſzczęścia, my nie ſpodziewamy ſię w naſzym ſtanie tey doli, ſpo-

koyni zawſze... Ale z kądże Pan na was bierze pieniądze?

WILELMINI.

Ja czaſami doſtarczam ſpoſobami, u nas nie wielka ieſt trudność doſtać, ale diabelnie wielka zapłacić. Pan waſz muſi temu wſzyſtkiemu zaradzić.

JĘDRZEY.

A kiedy Pan naſz nie zapłaci, coż wy zrobicie?

WILELMINI.

Muſi; albo go zagryziemy do śmierci, albo przedamy fortunę, on dobry dziad, dziś iak baranek był łagodny, kiedy iemu imieniem Pana moiego o tym śmiało gadałem... Ale wy mnie zabałamuciliście, a ia po co innego przyſzedłem do was, chciałem ſię ſpytać, gdzie tu piękne ſą dziewczęta, czy mężatki, poiedziemy z Panem.

MAGDALENKA.

Czy ſię żenić chcecie?

WILELMINI.

Fe! co gadaſz, a to na co? tak, zabawić ſię, gdyby z każdą żenić ſię, co ſię człowiek bawi i bałamuci, to byłby ſaray Turecki u nas.

MAGDALENKA.

Moſpanie, iak WPan o ſwoiey ſzczęśliwości bycia gadasz, trzebaby bydź tłuſtym, nie takiey cery, ale choć z mięſem ięcie, naſzego zdrowia, dalekoż bardziey ſumnienia i duſzy z wami nie handlowalibyśmy.

WILELMINI.

Moyże ty piękny Apoſtołku! wy to macie o co proſić Pana Boga, żeby wam dał urodzaie, zboże, my zaś w Warſzawie o to ſię cale nie turbuiemy.

****

SCENA X.

Ciż ſami. SZAMBELAN,

SZAMBELAN.

Co tu gadacie? iak ſię ty z niemi zgodziſz Wilelmini, choć to powiadaią, wpadłſzy między wrony, krakay iako ony, ia iednak tego nie uczynię, muſicie wy wſzyſcy i Jchmość moią pioſnkę śpiewać na mieyſcu waſzych rożańcow, godzinek. Wilelmini, pòydź do ſtarych Panow, powiedz, że kiedy chcą, będę u nich na godzinę piątą na kawę. Muſieliście gębę rozdziawiwſzy ſłuchać co wam Wilelmini rozprawiał, możecie go i ſłuchać, i uczyć ſię od niego.

MAGDALENKA.

Słyſzeliśmy od niego, czego żaden Xiądz na ambonie nie prawi, on Mości Dobr: inſzą iakąś nie naſzą ma wiarę.

SZAMBELAN.

Wafza wiara taka, iak ftarych Jchmościow, a iego taka, iak moia, zobaczemy czyia lepfza w czafie.

JĘDRZEY.

Czy Pan też tak wiele ma pieniędzy iak on, kiedy fługa podobny do Pana, bo według iego wiary, iak nam mówił, goły iak bizun, cała fortuna w brzuchu i w gębie.

SZAMBELAN.

A pfu mater Jędrzeiu, za takową konfidencyą, fto batogow, żeby i tak było, przedam ciebie chłopie, to będą pieniądze.

BARTŁOMIEY.

Nie wiele MosPanie zyfzczefz na nas, bo od Jegomości za wierne wyfługi, mamy iuż wolność nadaną, ktorego poki Bog będzie chował w życiu, poty i nas, a na Panicza wiarę nie przyftaniemy, tak iak Wilelmini, co to ani oyca

ani matki nie chce znać, ani poſtu, ani mſzy, ani pacierza, a do zimney wody ręki nie włoży: za tego Pan piękne wezmie pieniążki, to bardzo pokupny towar do rzeźnicy, u nas tak Moſpanie wieprze żyią i tak ich karmią iak on, na to tylko żyie, żeby iadł, pił i ſpał, a czaſami za Panem pobiegał.

SZAMBELAN.

A to chamek rozprawny iak uważam, Wilelmini, to ty ich źle ieſzcze poduczyłeś, zrobię ciebie potym Ekonomem, iak tatulo nogi zadrze, a i teraz pozwalam ci gębę im zatknąć.

WILELMINI.

MosPanie, Jeymość idzie.

SZAMBELAN.

I coż ztąd! nie muſi ſiedzieć kiedy idzie.

****

SCENA XI.

Ciż ſami, STAROSCINA.

STAROŚCINA.

WYidźcie ztąd, zoſtawcie mnie z Panem Janem na czas, (*Bartłomiey i Jędrzey odchodzą.*)

SZAMBELAN.

A to Mościa Dobr: mordy chłopſkie zuchwałe, ... żeby dłużey, kazałbym ich obić.

STAROSCINA.

Móy Synu! nie zaſmucay mnie, nie obrążay Oyca twoiego na ſamym przyieździe, kiedyśmy ſię obiecywali z tobą ucieſzyć; poznaſz w czaſie tych ludzi ſerce, iak oni nas kochaią, iak ſą wierni, iak wiele maią naturalnego rozſądku, my ſami pozwalamy im tey śmia-

łości, i radziemy ſię ich, ale mnieyſza o to, chcę cię o więcey matczynym affektem błagać, czy uſłuchaſz mnie? wſzakże znaſz moie przywiązanie, znaſz że twoim unoſzę ſię dobrem.

SZAMBELAN.

Jak to, mnieyſza o to, im więcey rozważam ſobie uſzczypliwość ſłow tych ludzi, tym ſię więcey zapalam, żeby to cudzy człowiek powiedział, miałbym z Panem iego akcyą, ale to ſwoy, w domu właſnym, wiele grzeczności zrobię, kiedy powiem o tym memu Oycu, że im każe po ſto nahaiow wyliczyć. Coż tam Jeymość więcey miała mowić, ſłucham..... Cały ſię gniewem zapalam, trzeba było zaraz im przynaymniey gębę kazać obić, coż tam Jeymość więcey... chłopy zuchwałe...

STAROŚCINA.

Mòy Synu! zaklinam cię, uſpokoy ſię, Oyciec może ſłyſzeć, w grob go wpro-

wadziſz, albo ſam ſiebie nieſzczęśliwym uczyniſz.

SZAMBELAN.

Czegoż Jeymość chce?... coż tam ieſt...

STAROŚCINA.

Już nie wſpominam, iak wolność twoia w Religii, nie obyczayność, marnotrawſtwo, impety nie mogą nam ſię podobać, bo to z czaſem....

SZAMBELAN.

A to ślicznie ia wpadłem! rozumiałem, że przyieżdżam z wielkiego świata do Rodzicow, a ia trafiłem do klaſztoru Kapucynow na rekollekcye i upominki duchowne, *Ma chere Mere* wſtyd mnie tey bigoteryi iaką tu zaſtałem. Bogu dzięki, żem moich ludzi cudzych z ſobą nie wziął, oniby Komedyą grali z tego, co ia tu zaſtałem: pacierze, poſty, mſze, na wſzyſtkich ludziach modeſtya zakonna, dwor bez meblow, kominy bez ſy-

metryi, a to czyſta Komedya, iabym oczu nie miał gdzie pokazać. U nas to grunt charakter, poczciwość, a tu ſłowa ieſzcze o tym nieſłyſzałem, żeby kto wſpomniał.

S T A R O Ś C I N A.

Móy Synu! przynaymniey z Oycem mów z pokorą, uczyń ukłon ſynowſki; nie przyganiay naſzym rządom, maſz więcey co mowić, niżeli iego i mnie martwić, obaczyſz, że będą i pieniądze i pokoy w domu.

S Z A M B E L A N.

Ma chere Mere! do Medardka z temi lekcyami, nie do mnie, aż nadto czynię, i czyniłem, że ludzi cudzych nie było, żem ſię ſkłonił, należało według zwyczaiu w twarz Oyca pocałować i doſyć, cudzemu człowiekowi wolno przywary upatrywać w cudzym rządzie, ktory nic temu nie zaradzi, wolno Ekonomowi,

Kommiſſarzowi; a mnie dziedzicowi nie ma bydź wolno; rozumiałbym, że Jeymość żartuie ze mnie z takiemi propozycyami; a to żebym do Monarchy przyſtępował, nie miałbym tyle obſerwacyi, ia z Miniſtrami, Senatorami, równie ſobie żartuię; czegożtu mam ſię tak poniżać, kocham moich rodziców, ale niezwierzącą miłością; tylko z rozumem, znam moią powinność, że do śmierci należy ich dochować; i ieżeliby wyciągała taka okoliczność; to gotow ieſtem za nich ſtrzelać ſię, i życiem moim ich zaſtąpić, *Ma chère Mere* to doſyć; doſyć że mnie; uſpokoy ſię WPani; idź do Jegomości, i iemu raczey powiedz, niech nie zrzędzi; bo to nawet i ſtarym nie do twarzy, ia za kwadrans nadeydę, żeby kawa i śmietanka była dobra; bardzo ſupplikuię.



AKT III.

SCENA I.

STAROŚCINA, DZIECI, MAGDALENKA,

STAROŚCINA.

MAgdeczko! czy kawa już gotowa, przyniesiesz, iak Pan Jan przyidzie, tylko patrzay, żeby śmietanka była dobra.

MAGDALENKA.

Już gotowa Mcia Dobr: w sowit kawy wsypałam iak zwyczaynie, pytałam się Pana Wilelminiego, iak Panicz lubi.

STAROŚCINA. (*do dzieci.*)

Moie dzieci! dziś cały dzień ſtroſkana, nie miałam czaſu z wami ſię bawić i nic mi nie powiedzieliście, czegoście ſię nauczyli?

KRYSIA.

Matulu! ia dziś czytałam hiſtoryą o Abrahamie i Izaaku, iaki to dobry był ſynek, iak on Oyca kochał i ſłuchał, iak oni dla Pana Boga wſzyſtko gotowi byli czynić, Medardek mnie ſłuchał i rozpłakał ſię.

MEDARDEK.

Matulu! ia ſobie pomyśliłem, Pan Jan braciſzek tegoby nie zrobił, a ia uczyłem ſię katechizmu, tām ieſt, iak to trzeba Rodzicow ſzanować i ſłuchać, a Pan Jan i iego Lokay przed Rodzicami ledwie głowę ſchylą.

STA-

STAROŚCINA.

Może przez zapomnienie tego uſzanowania nie uczynili.

MEDARDEK.

Oy! nie, matulu! przyſzła mnie na pamięć ta bayka; iak to lis nożkę tylko włożył do wozka, a potym drugą, a nakoniec wypchnął kura, tak może i Pan Jan z nami zrobi; nas wſzyſtkich z domu powypycha.

KASIA.

Matulu, nauczyłam ſię od Pana Doktora bardzo dobrego plaſtru na gardła bolenie, ſama zrobiłam; wielom iuż z naſzych ludzi dawałam, iak oni mnie błogoſławili i dziękowali, z płaczem mnie całowali, aż mi było miło na ſercu.

MAGDALENKA.

Panicz ſtarſzy iak to widział, że Panięta uczyli ſię, bardzo ſię śmiał, i mowił: o to piękna edukacya, dzieciom kat wie czym głowę zawrocić, iedną widzę

wyſtrychną na Aptekarkę, a drugiego baiacza zrobią Predykantem.

****

SCENA II.

Ciż ſami. STAROSTA, JĘDRZEY.

STAROSTA.

A Coż moia Pani! ieſzcze gościa naſzego nie maſz? czy ſię nie balſamuie, iuż ieſteśmy z uſt iego nawet przekonani, co za nie pokoy w domu mieć będziemy, i co za ſtratę ponieśliśmy z tey naſzey determinacyi, wyſłania go do Warſzawy, do niepoznania chłopiec!

STAROŚCINA.

Moie ſerce! ieżeli tak dobre dziecię mogło ſię zepſuć, czemuż zepſute, nie może ſię naprawić, trzeba cierpliwości.

STAROSTA.

Tyſiąc roſpuſtney młodzieży pſuło tego ſerce i rozum, a myż to ſami na ſtarość mamy zadawać ſobie pracę naprawować w tenczas, kiedy pomocy zniego i ſpoczynku właſnego ſpodziewaliśmy ſię? wieleż to nawet koſztowało mnie zdrowia, kiedym ſię o tym wſzyſtkim dowiedział, iak WPanią nie uſzanował, ſukał, ludziom groził naſzym . . .

STAROŚCINA.

Wſzyſtko to żywość temperamentu, ktora obiecuie wielkiego człowieka, w dzieciińſtwie nawet tę żywość w nim chwaliliśmy.

STAROSTA.

Dobrze, niech tak będzie; poſłucham więc WPani, i iuż wziąłem determinacyą moią, co mam uczynić, nie użyię z nim żadney gwałtowności, będziemy tu ſpołem do czaſu mięſzkali, tylko zaklinam WM. Panią przez miłość małżeńſką i ſy-

nowſką, żebyś była mnie pomocą do wſtrzymania tey goryczy duſzy moiey, ktorą ſerce mam zalane, muſzę zapomnieć, że ieſtem Oycem, Panem w domu, i Dobrodzieiem tego młodzika, ktory mnie nie ſłucha, nie poważa, i niczym ieſzcze nie wykupił ſię z wdzięczności.

STAROŚCINA.

Ale ſię wywiąże, odwdzięczy, poprawi i wſzyſtko pełnić będzie w czaſie, co zechcemy.

STAROSTA.

Na to więc zaręczenie, WM. Pani zgadzaſz ſię, żebyśmy ſpołem mięſzkali, a iemu oddali dyſpozycyą domu, że to ma go poprawić, iak ſię będzie miał czym rozerwać.

STAROŚCINA.

Spodziewałabym ſię.

STAROSTA,

Ja zaś więcey ſobie podchlebiam, iak obiecuię, aleź przynaymniey należy punkta iakie ułożyć między nim, a nami.

STAROŚCINA,

Jakie ſię tylko WPanu zdawać będą, wiem że będą rozſądne, i dla niego pożyteczne, ia ſię na wſzyſtko zgadzam. (*na ſtronie*) Oddycham teraz.

MAGDALENKA.

Pan Szambelan idzie uſryzowany i ubrany.

****

SCENA III.

Ciż ſami. SZAMBELAN,

SZAMBELAN, (*kłaniaiąc ſię trzy razy.*)

JUż też Mości Dobr: dogodziło ſię żądaniu W. WPana Dobr: włożyłem galowe ſuknie, i nie tylko iak do wielkich Panow, ale iak do Krola przyſtępuię do

ucałowania ręki. (*całuie oyca w rękę, potym bierze ſtołek i ſiada.*)

STAROSTA.

Magdalenko! kawy dla Pana Szambelana; iak tam daią w Warſzawie, oſtrzeż WPan, żeby ſię i w tym dziewczyna nie pomyliła.

STAROŚCINA.

Weź ſerwetę, zakryi.

SZAMBELAN.

(*bierze kawę i koſztuie.*)

Mcia Dobr: czy nie kładli tu marchwi dla menażu, albo domowa naſzą aptekarka, czy nie włożyłą iakich ziołek? (*koſztuie znowu*) coś czuię w niey . . nie mogę pić (*oddaie.*) Odnieś, a powiedz niechay Wilelmini nagotuie, obaczycie WPaństwo różnicę, tylko niech weźmie lewantſkiey, i przez cedzidełko, iutro będę proſił do ſiebie WPaństwo Dobr: na kawę, ieſteśmy tak bliſcy ſąſiedzi, trzeba żyć w har-

monii, tylko Mci Dobr: przykażmy ſwoim ludziom wzaiemnie, żeby ſię komportowali, *prima parcata*, nic nie będę mowił o tym, wſzakże dobrze tak Mcia Dobr: umiem bydź dla Dam grzecznym.

STAROSTA, (*z powagą.*)

Moſpanie Szambelanie nie traćmy czaſu, WPan chceſz do Warſzawy wyprawić poiazdy, potrzebuieſz pieniędzy, kiedy maſz ſerce moie, twoia też ieſt i ſzkatuła. W pouſałości tylko, bardzo proſzę, powiedz mnie wiele na wſzyſtko potrzeba, bo na cóż mamy drugi raz poſyłać, albo terminu uchybiać. Wilelmini mnie nauczył, że WPan przez delikatność, niechceſz mowić, a przecież wiem, że maſz uczciwość, charakter, ſłowo, więc to wſzyſtko obliguie do zadoſyć uczynienia kredytuiącym. Ja ſię WM. Panu zwierzę wſzyſtkiego, uczyń tę wzaiemność, możemy tylko przypuścić do naſzey wiadomości żonę

moią, ktora ieſt wielką WMP. Przyiaciołką i ia będę iego eſtymatorem, kiedy będziemy mieli do ſiebie konfidencyą.

SZAMBELAN.

Zadziwiaſz mnie WPan Dobr: ſwoią grzecznością, a to w tym momencie radbym, żeby cała Warſzawa patrzyła ſię na naſzą rozmowę, nie zgorſzyłaby ſię. Ha! kiedy tak, to będę traktował z W. Panem Dobr: iako z człowiekiem *raiſonable*. Bardzo dobrze, proſzę o moment czaſu, bo nie mam zwyczaiu moich długow piſać, na co te duplikaty, kiedy bez tego karty ſą wydane, ale ſię to wraz ſporządzi, *plus minus*, iak to dawniey gadano.

STAROSTA.

Zoſtań więc WM. Pan ſam, po regeſtruy, co komu? za co winien ieſteś? a ia poydę po moie papiery, żebym WPanu i krotko i iaſno do iego ukontentowania dał ſpra-

wę wſzyſtkiego, i wrąz tu nadeydę (*odchodzą wſzyſcy.*)

****

SCENA IV.

SZAMBELAN, (*ſam.*)

A To ieſt nad ſpodziewanie miła ſiurpryza, nigdym ſię tego nieſpodziewał, iam rozumiał, że o Czer: 300. wiele będzie korowodow, a tu mnie wſzyſtkie długi obiecuią płacić, i coś ieſzcze z ukontentowaniem uczynić, bravisſimo! bravisſimo kocham cię za to, ſtaruſzku! to milſza ſiurpryza niż żeby kto *à l'imprevu* balik gdzie w laſku, w grocie ſporządził, albo dom iaki przyiacielowi wyſtawił, umeblował, bravisſimo, bravisſimo! hola Wilelmini.

****

SCENA V.

SZAMBELAN, WILELMINI,

SZAMBELAN.

Wiesz co? zgadyway, co mnie dziś móy Oyciec powiedział? o iakbym chciał, żeby cała Warszawa to słyszała.

WILELMINI.

Musi bydź co dobrego, bo Pan tak wesoły.

SZAMBELAN.

Bardzo dobrego, bardzo dobrego.

WILELMINI.

To pewnie Panu ustępuie fortuny?

SZAMBELAN.

Już to iedno idzie za drugim, teraz płaci wraz wszystkie moie długi, kazał mi regestr podać, zbierz tam wszystkie notatki

i prędko napiſz, muſzę z niemi ieſzcze w innych intereſſach ułożyć ſię. Poczciwy ſtaruſzek!

WILELMINI.

Moie to uwagi Moſpanie, moie, ktore iemu czyniłem, śmiało, odważnie, w tak łagodnego go zamieniły.

SZAMBELAN.

Użci moy kochany, moy ſpoſob poſtępowania *noblement*, i z góry zapewne oczy mu otworzył, idźże, ſpiſz regeſtr prędko. (*wychodzi*)

****

SCENA VI.

SZAMBELAN, STAROSCINA,

STAROŚCINA.

A Cóż Panie Janie! czy kontent ieſteś z Oyca? wſzakże mowiłam, nieopieray ſię niczemu? nie przyganiay, pozwol czego żąda, mowiłam, że nie będzieſz żałował.

SZAMBELAN.

Mościa Dobr: uważam, że roſtropnie gada, rzecz światło bierze, możemy ſię zgodzić, czemuż nie? będę go ſłuchał, i upewniam, że ſię zgodziemy.

STAROŚCINA.

Zaraz Jegomść przyidzie, niechay nas troie będzie, niepowinien ani Wilelmini wiedzieć, co mamy układać z ſobą.

SZAMBELAN.

Zaraz, tylko mnie regeſtra przyniesie, albo też ſam wraz póydę i przynioſę.

****

SCENA VII.

STAROSCINA, STAROSTA,

STAROŚCINA, (*ſama.*)

Spodziewam ſię, że ſię rzeczy ułożą i ſyn móy będzie rownie nam miłym iak przed tym.

STAROSTA, (*przychodzi.*)

A niemaſz ieſzcze Pana Jana?

STAROŚCINA.

Zaraz przyidzie, poſzedł po regeſtr, zupełnie upokorzony i ſpokoyny.

STAROSTA.

Dałby Bog, żeby na długo, i żebyśmy my też byli kontenci.

STAROŚCINA.

Spodziewam ſię moie ſerce! ſzczerze ſię ſpodziewam.

****

SCENA VIII.

Ciż ſami, SZAMBELAN.

STAROSTA.

POſiadaymyż wſzyſcy. Siądź i Waſzeć P. Janie! ia zaczynam pierwſzy od ſiebie poufałe zwierzenie ſię... Zacząłem myśleć iuż Panie Janie o zeyściu moim, i właśnie na śmierć zapas przygotowałem w pieniądzach, ktorych poſtanowiłem nawet nigdy nie ruſzyć, zacząłem też uzbierać na poſag dla Kryſi, żebym wam czyſty maiątek zoſtawił, kiedy iednak wyciąga potrzeba twoia dla honoru, muſzę ruſzyć tego kapitaliku, dochodzi on do 30ſtu tyſięcy Zł: Poll: czy wſzyſtkie mam oddać?

SZAMBELAN.

Mości Dobr: teraz cale nie masz zwyczaiu expensowne robić pogrzeby, a zatym cale ten zapas iest prożny i nie potrzebny, Krysia może ieszcze mniszką będzie, a teraz Mości Dobr: wielka potrzeba, chociaż tego nie stanie dla mnie, będę cierpliwy do czasu.

STAROSTA.

Jakież są te długi? na co? i komu, powiedz mnie Panie Janie! albo day regestr?

SZAMBELAN.

O to iest Mości Dobr: nic nie masz straconego, wszystko iest w meblach i sprzętach. Dłużny iestem rożnym kupcom Czer: 3000. ale moich sprzętow, co mam z sobą, i co w Warszawie zapewne za ten kapitał zaledwobym mogł oddać, uważ WPan Dobr cały ten regestr sprzętow, i drugi długow moich,

z iaką nawet oſzczędnością obchodziłem ſię.

STAROSTA.

Już więc, co do pierwſzego rzecz zakończona, daię Waſzeci ſłowo honoru, ſłowo Oycowſkie, że wſzyſtko zapłacę, dayże mnie ſłowo honoru, że pozwoliſz mnie ſamemu oſtatni raz mieć tę koſolacyą, żebym ia ſam zapłacił, i w tym ſam ſię porządził.

SZAMBELAN.

Mości Dobr: a toż na co? to uczyni mnie wſtyd, żeby kto za mnie, nie ia ſam płacił.

STAROSTA.

Pod imieniem twoiego Plenipotenta, każę opłacac, podpiſz te regeſtra, móy wielki przyiaciel przyimie na ſiebie tę przyſługę; inaczey móy Synu! nie dam pieniędzy.

SZAM-

SZAMBELAN.

Moy to Kamerdyner ſprawiłby, ale kiedy koniecznie tak ſię Jegomości zdaie, dobrze, podpiſuię (*idzie do ſtolika.*)

STAROŚCINA.

(*cicho.*)

Proſzę móy Jaſiu, nie opieray ſię niczemu? czyń co każe, poznaſz iak to z twoim dobrem będzie.

STAROSTA.

To iuż ieden interes zakończyliśmy, drugi ważnieyſzy naſtępuie, a ten ieſt, ktory pod pewnemi warunkami mamy z ſobą zakończyć. Synu móy, nie ieſt tobie tayno, że przy pracy moiey, Bog pobłogoſławił maiątkowi moiemu, ſpłaciłem moie Rodzeńſtwo, i ſam tey piękney fortuny, ſtałem ſię dziedzicem. Jeſtem policzony między ludzi maiętnych, powiem ci ſzczerze pod ſumnieniem o naſzych dochodach, podzielemy ſię rownie,

wſzakże praca moia cała w życiu była dla was. Od twoiego będzie zależało wyboru, albo obiąć cały maiątek, i rząd domu, albo przeſtawać na części umiarkowaney dochodow, powiedz myśl ſwoią, i day ſłowo poczciwe, że dopełniſz warunki ode mnie założone. Wiele, na ſwoią potrzebuieſz koniecznie oſobę?

SZAMBELAN.

Mości Dobr: przyznaię ſię, że mam wielką ochotę do goſpodarſtwa, i znam ſię na tym, mam też naukę Architektury, wſzyſtko byłoby u mnie inaczey, ale zoſtawuię to do woli WPana Dobr: a iak naymizerniey miarkuiąc ſię, przeſtanę na tym, żebym na mieſiąc miał Czer: 100. będę ſię iuż kurczył iak mogąc.

STAROSTA.

A na dzieci co wyznaczaſz?

SZAMBELAN.

Dla nich dosyć będzie na rok Czer:300. odwiozę do Warszawy, i oddam na pensyą, iuż to Mości Dobr: będzie dosyć na stoł, metrow i odzieżkę przystoyną.

STAROSTA.

Jakem zaś tobie przyrzekł pod sumnieniem; tak wiernie wyiawiam, że ta piękna fortuna, na ktorey żyiemy, i was zhodowaliśmy, nie tak, iak na arędę, ale tak, iak sami gospodaruiąc, po opłaceniu podatkow, i expensow domowych nayoszczędnieyszych do roku, iuż nam zaczyna czynić dochodu Złł: Poll: 27200. to tedy resztę na nasze życie zostawuiesz? musisz znać liczbę, weź pioro, i powiedz nam, wieleż to dla nas będzie? ale to łatwo i zpamięci; dla ciebie Czer: zło: 100. na miesiąc, uczyni Czer: 1200. dla dzieci Czer: 300. czyni na rok Czer: 1500. co na Złote, uczyni Złł: 27000. więc na mnie przypa-

da Złł: 100. i na twoią matkę Złł: 100. czy to nie będzie mało... Twoy Wilelmini ſam ieden za tę ſummę kwartału nie przeżyłby.

SZAMBELAN.

Już ci Mości Dobr: ſam znam, że za mało, ale trudno inaczey, ia żadnym ſpoſobem nie mogę oſzczędniey żyć.

STAROSTA.

Więc lepiey moy Synu! uwolniy nas od ciężaru i pracy goſpodarſkiey, weź fortunę, a nam wyznacz penſyikę, żebyśmy mogli chwalić Boga ſpokoynie, i przyſtoynie według ſtanu naſzego.

SZAMBELAN.

Jak wola Jegomości, zgadzam ſię na to, i nawet obſicie gotow ieſtem mieſięczne poſtąpić, na przykład na oſobę na mieſiąc po Czer: 5.

STAROŚCINA.

Coż to będzie moie ſerce, to my na iurgielcie u Pana Jana będziemy.

STAROSTA.

Przyrzekłaś mi WPani nie opierać ſię, wſzakże za iey perſwazyą używam tey łagodności, dopuść niechay ſkończę.

SZAMBELAN.

Mościa Dobrodziko, to nie ieſt iurgielt, bo ia żadney poſługi od Ichmościow nie potrzebuię, owſzem gotom ieſtem w różnych leguminach przyſługiwać ſię.

STAROSTA.

Ja ſię zgadzam na wſzyſtko, i gotow ieſtem z moiey ſtrony wraz wſzyſtko podpiſać, bo ſię długo namyślam co mam robić, a co robię, to prędko robię, wſzakże i dzieci naſze, i czeładź przyimuieſz na ſiebie?

SZAMBELAN.

I ia tak lubię, tak, tak, Mości Dobr: przyimuię.

STAROSTA.

Panie Janie, daieſzże mnie parol honoru, że włożone odemnie warunki z twoim dobrem dopełniſz.

SZAMBELAN.

Daię Mości Dobr: parol honoru, iakież to ſą? racz WPan Dobr: powiedzieć, gotowem wraz podpiſać.

STAROSTA.

Wierzę ſłowu, bynaymniey nie uciążliwe. Nayprzod żebyś cały rok w domu nie wyieżdżaiąc, poſiedział.

SZAMBELAN.

A to więzienie... ha! coż robić? potym ucieſzę ſię.

STAROSTA.

Powtóre. Zeby mnie wolno było bydź przez ten czas Sędzią wſzyſtkich ſpraw

twoich, a ty moiey ulegał decyzyi, iak gdyby w ſądach Marſzałkowſkich.

SZAMBELAN.

Mnieyſza o to, wſtrzymam ſię, dobrze.

STAROSTA.

Zebyś też przez ten rok w goſpodarſtwie ſłuchał mnie, wſzakże na cały iuż wiek będzieſz panował.

SZAMBELAN.

Przykro to w prawdzie, ale mnieyſza o to, zgadzam ſię.

STAROSTA.

Jeżeli zaś, ktorego niezachowaſz punktu, to umowa cała zrywa ſię. Zawołam teraz ludzi moich, i dzieci, i ogłoſzę naſze ułożenie, czy zgoda?

SZAMBELAN.

Bardzo dobrze, parol honoru (*Staroſta dzwoni na ludzi, Starościna nieſpokoyna-*

****

SCENA IX.

Ciż sami. DZIECI, CZELADZ.

STAROSTA, (*do dzieci.*)

MOie dzieci! macie Bracifzka oświeconego, rozumnego, ktory iuż razem będzie wafzym Oycem, Matką, i opiekunem na mieyfcu nafzym, oddaiemy was pod iego rząd. (*Dzieci płaczą*)

KRYSIA.

Ja Matuli nie odftąpię.

MEDARDEK.

Tatulu! nie porzucay nas.

STAROŚCINA.

Panie Janie, wfzakże ia przy nich będę? nie odbierzefz ich ode mnie?

SZAMBELAN.

Od woli Jeymości Dobr: będzie zależało, trzymać ich przy fobie, albo mnie oddać.

STAROSTA, (*do czeladzi*)

Wy też przybrane moie dzieci, iuż macie Pana, ktorego wam zoftawiam, fluchać iego będziecie, iak wam fummnienie każe.

JĘDRZEY.

Mości Dobr: za chleb do śmierci będę Panu flużył, nieumiałem w życiu i nie chcę uczyć fię iakto Panow odmieniać iak fuknie.

BARTŁOMIEY.

Gdzie Pan, tam i my, rowno z Panem, iuż i ten dom nie będzie nafzym domem.

MAGDALENKA.

Ja Jeymości nie odftąpię.

STAROSTA.

Moie ferce, profzę z fobą, i was wfzyftkich, mam fię iefzcze rozmowić z wami ofobno, Panie Janie, tu fię zoftaniefz na moment, wraz przyidziemy. (*odchodzą.*)

****

SCENA X.

SZAMBELAN, (*ſam.*)

To oſobliwſza rewolucya! nawet mnie ſamemu ſerce ſię rozrzewniło patrząc, ale przyidzie koley, że i mnie tak będą żałowali, (*dzwoni.*) Wilelmini.

****

SCENA XI.

SZAMBELAN, WILELMINI,

SZAMBELAN.

WIeſz co ſię ſtało Wilelmini, wſzakże iuż ia Pan, trzeba będzie odmienić dyſpozycyą do Warſzawy. Podobno, że ty poiedzieſz dla ſprowadzenia moiego całego dworu, będziem muſieli cały rok tu mieſzkać, taka umowa.

WILELMINI.

Mnieyſza o to Mości Panie! pod Pańſkim rządem, my tu Warſzawę zrobiemy.

SZAMBELAN.

Będę iednak ciebie potrzebował tu przy ſobie, bo żadnego nie mam do pomocy, wſzyſcy dla mnie cudzi, ieſzcze namyślę ſię.

WILELMINI.

Co Pan rozkażę, a ia tym czaſem podedukuię ſobie Magduſię, otoż i Jchmość ſtarzy z całą ſwoią watahą.

****

SCENA Oſtatnia.

Ciż ſami. i WSZYSCY.

STAROSTA, (*ſerio.*)

PAnie Janie! dopełniłem iuż intereſſu WPana, iak iego Plenipotent, kazałem

zabrać wſzyſtkie iego meble, ſprzęty, kocz i ruchomości, już konie gotowe, poſyłam mego przyiaciela z pieniędźmi i dyſpozycyą, ażeby dwor Waſzecin Warſzawſki odprawił, ſprzęty na kredyt wzięte powrocił kupcom, dopłaciwſzy za używanie, reſztę przedał, i wſzyſtkich zaſpokoił, Waſzeci na wſi tego nie będzie potrzeba.

SZAMBELAN.

A czy to można! ia mam do nich upodobanie, ia ſię bez nich nie obeydę.

STAROSTA,

Panie Janie, ſłowo, parol honoru kondycya muſi tak bydź, moiego Panowania ieſzcze rok. Teraz co do goſpodarſtwą, mam uczynić rozporządzenie, wſzakże znaſz to dobrze, że Szambelanem zoſtałeś, pierwey będąc Paziem i Kameriunkrem. Kapitanem nie wolno bydź nie będąc mnieyſzym wprzod Officyerem, toż ſamo, maſz

bydź Panem i rządzącym, muſiſz poyść przez ſtopnie, w roku iednym, będzieſz miał promocyą, zaczynieſz teraz od Podſtarościego, iuż maſz ſuknie przygotowane i izbę przy gumnie uprzątnioną.

S Z A M B E L A N.

A to nie może bydź, wolałbym ſobie w łeb ſtrzelić.

S T A R O S T A.

Panie Janie! to muſi bydź, ſłowo, parol honoru, a kiedy w łeb ſobie ſtrzeliſz, tym łepiey, wſzakże teraz nie expenſowane pogrzeby, kiedy zaś będzie ſię Jegomości podobało umknąć zdomu, tym lepiey, wolno i konika uiechać naylepſzego, upewniam, nie każę gonić, tym lepiey. A ty Panie Wilelmini, możeſz także wyniść na karbonego w ſwoim czaſie, poydzieſz do chaty, maſz ſiermięgę przygotowaną, twoy brat młodſzy poſłuży Panu Janowi, tam przy-

pomniſz czym byłeś i czym ieſteś, tam lepſzą w tygodniu weźmieſz naukę, niżeli przez rok w Warſzawie.

SZAMBELAN.

Mości Dobr: nie czyń mi WPan Dobr: tak piekielney krzywdy.

STAROŚCINA.

Synu moy! bądź pewnym, że nas zawſze znaydzieſz Rodzicami; od ciebie zależeć będzie, żebyś ſię pokazał Synem, gniew naſz nie ieſt nigdy z tych liczby, co burzy i wywraca, ale co naprawia. (*do Męża.*) Moy Mężu pamiętać wſzakże będzieſz, że ieſteś Oycem, i że to twoy Syn.

STAROSTA.

Panie Janie nie ieſt to ſetna cząſtka tego uprzykrzenia, ktoreś mnie uczynił, warteś ſrożſzey kary, ta zaś ciebie wcale nie zawſtydzi na cały wiek, owſzem uwielbiać będzieſz lekarſtwo, choć przykre, na uleczenie choroby ciężkiey, a

przykład z tobą moy, oduczy wielu młodych od zapominania nayświętſzych obowiązkow, i oraz z twoiey poprawy i poznania błędow, będą rodzice mieli przeſtrogę iak młodym cuglow nie należy nigdy zdeymować, a rozbiegałych zawſze można z cierpliwością wziąść na muſztuk i na drogę proſtą na prowadzić.

KONIEC.